

Bretania - raj dla kamperowców [FOTO]

data aktualizacji: 2019.01.19



Północno-zachodnia część Francji nie jest dla Polaków popularnym kierunkiem wakacyjnych wojaży. My jednak chcieliśmy pojechać tam od dawna, a konkretnie od czasu emisji w TVP francuskiego serialu „Kamienie śmierci”. Choć fabuła wydała nam się irytująca, oglądaliśmy odcinek za odcinkiem, głównie ze względu na wspaniałe pejzaże klifowego wybrzeża i celtycki klimacik regionu.

Po męczącej podróży, którą nasze dzieci były w stanie przetrwać głównie dzięki oglądanym bajkom lub słuchanym audiobookom (kiedyś oczy muszą odpocząć od ekranu) dotarliśmy na pierwszą bretońską plażę na wschód od Saint-Malo. Z zaparkowaniem kampera nie mieliśmy żadnych problemów - tuż za wydrami znajdował się bezpłatny parking, wprawdzie niewielki, ale stały na nim tylko dwa samochody osobowe, a było słonecznie i bardzo ciepło! W dodatku mamy lipiec, więc gdzie są wszyscy plażowicze?

Miniwęgorze

Z początku obawialiśmy się, że może z jakichś powodów to miejsce nie nadaje się do plażowania albo kąpeli, ale nic z tych rzeczy! Za wydrami zobaczyliśmy rozległą, złotą plażę obmywaną łagodnymi falami Atlantyku, kompletnie pozbawioną ludzi, co kilkanaście metrów malowniczo przyozdobioną brunatnymi skałkami. Widok ten nie był nam obcy, bo bardzo podobne plaże podziwialiśmy już

w Kornwalii.

Jak tylko znudziły nam się kąpiele, zostawiliśmy manatki i wyruszyliśmy na poszukiwanie ścieżki do spacerowania wzdłuż wrzosowisk. Kiedy dotarliśmy na drugą stronę klifu, odkryliśmy kolejną zatokę, która z powodu odpływu była w całości pozbawiona wody. Niesamowite! Odpływ - normalna rzecz, ale tak dużego jeszcze nigdy nie widzieliśmy! Zatoka usiana była smutnie pochylonymi jachtami i łodziami rybackimi, które w tej nienaturalnej pozycji jakby utraciły swą dumę i czekały na wodę, jak na wybawienie. Między jachtami zobaczyliśmy kilku mężczyzn i małe dzieci, którzy uwijali się jak w ukropie i coś zbierali. Zaciekawieni tym procederem zeszliśmy z klifu i na miejscu odkryliśmy, że mężczyźni są zaopatrzeni w wielkie grabie, którymi rozgarniają piasek, a dzieci natychmiast rzucają się i wyłapują małe rybki, które wyglądają jak małe węgorze, a następnie wrzucają je do wiader z wodą. Nasze dzieci zaczęły pomagać i choć daleko im było do wprawy miejscowych poławiaczy, to i tak świetnie się bawiły!

Skalista wyspa pływowa

Nie samym plażowaniem żyje człowiek, dlatego następnego dnia postanowiliśmy odwiedzić jedną z perełek Bretanii - Mont Saint-Michel. Jest to bardzo stare opactwo wraz z miasteczkiem, wybudowane na wyspie, które z lądem połączone jest wąską groblą, ale tylko w czasie silnych przypływów. Trzeba przyznać, że cała średniowieczna architektura prezentuje się wyjątkowo malowniczo, szczególnie z daleka. Miasteczko, które znajduje się u stóp potężnego klasztoru, kiedyś przyjmowało pielgrzymów, a teraz jego zabudowania pełnią funkcję sklepów z pamiątkami. Byłoby niezwykle klimatycznie i pięknie, gdyby nie tysiące turystów i straganów w wąskich, kamiennych uliczkach, które sprawiały, że zamiast upajać się średniowieczną aurą, zastanawialiśmy się jak tu się precyzyjnie, żeby nie stracić czegoś cennego i nie pogubić dzieci. Z drugiej strony, trudno nie polecić tego miejsca, które jest najchętniej odwiedzane we Francji, zaraz po Wieży Eiffla i Luwrze.

Chwila zadumy na plaży

Po średniowiecznych klimatach zdecydowaliśmy się na nieco nowszą historię i udaliśmy się na Omaha Beach w Normandii. Sama plaża - najbardziej z dotychczas napotkanych - przypomina nasze polskie, nadbałtyckie plaże. Ponieważ pogoda w dalszym ciągu nas rozpieszczała, z przyjemnością zalegliśmy na piasku. A propos piasku - podobno do dzisiaj, na 25 ziarenek przypada tutaj jeden opilek metalu. Wsłuchani w szum fal, krzyki mew i grzani słońcem, z trudnością wyobrażaliśmy sobie dramatyczne sceny, które odbyły się tu w czerwcu 1944 roku. O morzu krwi wsiąkniętej w piasek i tonach wystrzelonej amunicji przypominają liczne tablice i pomniki oraz nieliczne pozostałości dawnych bunkrów i umocnień brzegowych.

Kamienie w różnych kształtach

W drodze do malowniczego wybrzeża Côte du Granit Rose zauważyliśmy zdecydowaną, choć stopniową zmianę w architekturze. Domy z szarego kamienia, białe, ozdobne okna i zadbane ogródki, a czasem całe kamienne miasteczka sprawiły, że poczuliśmy się jak w Wielkiej Brytanii. Jedyne ruch prawostronny, typowo francuskie okiennice i wszechobecne bagietki, przypominają nam, że w dalszym ciągu jesteśmy we Francji. Samo wybrzeże sprawia wrażenie, że Góry Stołowe przywędrowały z Polski i przycupnęły w tym uroczym zakątku. Przedziwne formy skalne, które swym kształtem pobudzały wyobraźnię, dostarczyły nam niezłej rozrywki w wymyślaniu co nam one przypominają. Znaleźliśmy skalnego jamnika, butelkę wina, rekina, ludzką głowę z okiem i Angry Birda z otwartym dziobem. Wprawdzie widzieliśmy już kilkakrotnie podobne skały, ale nigdy w tak pięknym otoczeniu. Oczywiście, poprowadzone są wzdłuż brzegu ścieżki spacerowe, więc można tu aktywnie spędzić nawet pół dnia.

Wodna pułapka

W drodze do kolejnych atrakcji, znów widzieliśmy zatoki pozbawione wody. Pływy w Bretanii są naprawdę bardzo duże, jak na nasze oko mają 7 lub 8 metrów, ale bywa podobno nawet 11 metrów. Śmiałyśmy się, że jak ktoś wykupił wczasy nad zatoką (zachęcony zdjęciem w czasie przypływu), to musi być bardzo rozczarowany, kiedy na miejscu okazuje się, że jego domek jest położony nad pustą, zalatującą mułem zatoką. Na parkingach często można znaleźć tabliczki z informacją, do której godziny można parkować, bo potem auto znika pod wodą. Natrafiliśmy także na małe plaże, szczelnie otoczone skałami (niezwykle malownicze i pełne ciekawych muszli), na których byli zatrudnieni ratownicy. Od razu kiedy zaczynał się przypływ, powiadamiali plażowiczów, że należy udać się na parking. Kiedy nie zobaczyli u nas należytego pośpiechu, zaczęli nas popędzać. Wkrótce okazało się, że przypływ jest bardzo gwałtowny i schodki prowadzące do parkingu dość szybko znajdują się pod wodą, a my zostalibyśmy uwięzieni w klifowej zatoce, która sądząc po kolorze skał, do połowy wypełniła się wodą...

Obiad zamiast szpitala

Wkrótce dotarliśmy w okolice Brestu. Pogoda jak marzenie, więc opuściliśmy kampera dość wcześnie rano, żeby jak najwięcej zobaczyć. Pierwszą atrakcją były przepiękne klify ze ścieżkami (oczywiście!), którymi spacerowaliśmy zajadając bagietki. Po drodze napotykałyśmy bunkry i inne militarne zabudowania, stanowiące pamiątki z różnych okresów historii od XVI w., przez Napoleona, aż po II wojnę światową. Poza tym widoki... cudne! Zauważyliśmy bardzo zachęcająco wyglądającą zatoczkę, z dużą plażą, ewidentnie podczas odpływu, z długą falą wykorzystywaną ochoczo przez surferów. Zarówno my, jak i dzieci świetnie bawiliśmy się w tych falach, chociaż Łukasz do czasu, gdy jakaś bestia ugryzła go w palec i musiał prędko ewakuować się na brzeg! Na kocu zdrętwiała mu cała stopa, potem łydka i postanowiliśmy, że jak objawy przekroczą kolano, to szukamy szpitala. Na szczęście ból spod kolana zawrócił w kierunku stopy, a po dłuższym czasie do samego palca, więc zamiast do szpitala pojechaliśmy... na obiad.

Zawsze staramy się kosztować miejscowych specjałów, a tutaj za takowe uznaliśmy żaby, ślimaki, rozmaite gatunki sera oraz miejscowy cydr. O ile ślimaków nie da się przygotować w kamperze (nie mamy piekarnika), żaby – jak najbardziej. Oczywiście, prościej byłoby zamówić w restauracji, ale ominęłaby nas świetna zabawa, a ponieważ od początku podróży kiedy tylko słyszeliśmy rechotanie żab w stawie (jest ich tutaj całe mnóstwo!) żartowaliśmy, że trzeba ich nałapać i zjeść, w końcu postanowiliśmy dotrzymać obietnicy. Wprawdzie nie łapaliśmy ich osobiście, tylko kupiliśmy gotowe udka w sklepie, ale surowe i sami zajęliśmy się przygotowaniem. W smaku mięso lekko zalatywało płazem i nie byłam do końca zadowolona. Kolejnym razem przygotowaliśmy żaby dokładnie według francuskiego przepisu, czyli prawie cały dzień marynowaliśmy mięso w czosnku, maśle i pietruszce, a następnie usmażyliśmy na masełku zmieszanym z marynatą. Wyszły... pyszne! Wprawdzie mięsa było niewiele, ale warto spróbować; wówczas określenie „żabojady” nabiera zupełnie innego znaczenia.

Nie wszystko jest atrakcyjne

Na południe od Brestu natrafiliśmy na urocze średniowieczne miasteczko Locronan. Jest wprawdzie niewielkie, ale za to bardzo klimatyczne. W centralnym punkcie znajduje się katedra, ozdobiona typowymi dla tamtych czasów gargulcami, dookoła niej jest ryneček ze studnią, parę kamienic oraz merostwo, tonące w kwiatach. Potraktowaliśmy je jako przerwę w podróży i ruszyliśmy dalej na południe, z zamiarem odnalezienia menhirów, z którymi Bretania najbardziej nam się kojarzyła. Do Carnac dotarliśmy już późnym popołudniem. Znaleźliśmy tam bardzo dużo sędziwych głazów. Były mniejsze i większe, jedne z bluszczem inne bez... w większości pojedyncze, a niektóre ułożone w bardziej misterne konstrukcje... Czy coś jeszcze? Właściwie to... byłoby na tyle. Rozumiem

fascynację tematem: skąd się one wzięły i jaką pełniły funkcję, bo rzeczywiście widać, że zostały ustawione przez kogoś i w jakimś celu, w równych rzędach. Niektóre głazy są tak olbrzymie, że trudno sobie wyobrazić, jak je ustawiano w tamtych czasach. Jednak jako atrakcja turystyczna miejsce to nie bardzo nas zachwycało i dwie godziny spaceru wzdłuż ogrodzenia to zdecydowanie wystarczająco, a dla naszych dzieci aż nadto...

Krzywe kamieniczki

Koniec wyprawy zbliżał się wielkimi krokami, ruszyliśmy więc na północ w stronę stolicy Bretanii – Rennes. Niedziela to dobry dzień na zwiedzenie miasta, ponieważ parkomaty są nieczynne, wszędzie więc można stanąć gratis. Zaskakuje bardzo mały ruch uliczny. Pieszycy również jak na lekarstwo. Rennes jest podobno najmniejszym na świecie miastem posiadającym metro, nowoczesne: bezzałogowe, full automat, pociągi odjeżdżają co 90 sekund! Ale nie korzystaliśmy z niego, bo całe stare miasto można przejść w poprzek w 20 minut. Najbardziej typowy obrazek starego Rennes to pokrzywione, drewniane kamieniczki. Po 1720 roku, w którym pożar strawił niemal całe miasto, ostało się ich całkiem niewiele. Niektóre tak dalece odchylają się od pionu, że zastanawialiśmy się w jaki sposób zabezpieczone są przed zawaleniem. Bo chyba są?! Czasem tak się garną ku sobie, że prześwit na poziomie dachu jest o ponad metr mniejszy niż przy ulicy! Oprócz kamienic pooglądać można też stare kościoły, których jest tu całkiem sporo, pospacerować wzdłuż kanału (niestety jest bardzo brudny). Na koniec trafiliśmy do przyjemnych ogrodów miejskich z małym wodospadem, ptaszarnią i kilkoma stawami pełnymi kaczek. Jedną nawet Nikodem nauczył skakać po bagietkę i merdać ogonkiem.

Najpiękniejsze muszle w Europie

Zostały nam jeszcze trzy dni, z których jeden postanowiliśmy przeznaczyć na plażę i spacer, a ostatnie dwa na powrót do Polski. Jako miejsce wypoczynku wybraliśmy Szmaragdowe Wybrzeże. Udaliśmy się na długi spacer krawędzią klifu aż po latarnię na Cap Fréhel. Widoki – bajeczne! Skały, piasek i woda, z minuty na minutę bardziej rozświetlały się słońcem, nabierając piękniejszych i radośniejszych kolorów. Najlepszym jednak dzisiejszym wspomnieniem są przepiękne wrzosowiska, a właściwie to całe kobierce roślinności splecione z wrzosów, jakichś zielonych, kolczastych gałązek i różnokolorowych kwiatów, które pokrywały wszystkie nadbrzeżne pagórki aż po krawędź klifu. Coś pięknego!

Jesteśmy spaleni słońcem, jakbyśmy spędzili wakacje w Grecji, a nie na północy Francji. Doceniamy też inne walory Atlantyku, który oferuje najpiękniejsze muszle w Europie.

Caravanningowcy przybywajcie!

W drodze do domu stwierdzamy zgodnie, że Bretania ma wyjątkowo przyjazny „klimat” dla kamperowców. Niemal wszędzie na wydmach i klifach łatwo znaleźć dzikie, odludne parkingi lub parkingi całkiem oficjalne, ale darmowe i nie przystrojone tabliczkami „no overnight staying” (z ang. zakaz postoju na noc – przyp. red.). Nie ma poprzeczek na 2 metry, a jeśli są to i tak część parkingu ma osobny wjazd i pozostawiona jest dla wyższych aut. Dwa razy widzieliśmy tabliczkę informującą, że postój kampera możliwy jest tylko (albo aż) jedną dobę. Wszystkie te miejsca są ochoczo wykorzystywane przez francuskie kampery jako dzikie miejsca noclegowe i nikt nie robi żadnego problemu. A do tego przy drogach można napotkać liczne, dobrze oznakowane punkty serwisowe, gdzie nabieramy świeżej wody i wylewamy szambo. Coś mi się zdaje, że jeszcze tu wrócimy...!

TEKST Anna Mika

FOTO Łukasz Mika

Oprac. JZ

Artykuł pochodzi z numeru 3(72) 2016 Polskiego Caravaningu

Źródło: